

# **Słowo władzy – władza słowa (wstęp)**

Jerzy Jarzębski

# teksty

D R U G I E

1  
1995

Dwumiesięcznik  
Instytutu  
Badań  
Literackich  
PAN

TEORIA LITERATURY KRYTYKA INTERPRETACJA

## *Słowo władzy – władza słowa*

*Intymny związek łączy władzę ze słowem. Rzecz można, iż splecione były mocno już u samego zarania wszelkich mitów. U podłoża całej tradycji europejskiej leży wiara w sprawczą siłę Słowa/Logosu, w to, że nie tylko odbija ono w sobie rzeczywistość, ale też ją stwarza, nadaje porządek i trwa zaklęte w nią, obleczone ciałem. Ten sakralny stosunek do Słowa jako fundament naszej kultury zabawnie kontrastuje z jej skłonnością do nie otamowanej niczym logorei. Nigdzie chyba na świecie poza Europą tak mocno nie zaznaczyła się sprzeczność pomiędzy ważeniem śmiertelnie serio Słów–cegieł czy Słów–kamieni a zgubną, jak się na pierwszy rzut oka wydaje, skłonnością do wygadywania byle czego.*

*Co tu kryć, obniżka wagi słów jest wprost proporcjonalna do wzrostu demokracji. To w państwie rządzonym przez wybranych swobodnie przedstawicieli ludu, państwie uwalniającym się od silnej, autorytarnej władzy, uczącym swych obywateli aktywnego udziału w rządach mówi się na forum publicznym coraz więcej, śmieiej, bez oglądania się na konsekwencje. Słowo w demokratycznym społeczeństwie przekracza swobodnie wszelkie granice – także granice głupstwa czy obłędu. Marzenia bojowników o wyzwolenie od politycznej opresji, że odzyskana wolność zakwitnie nareszcie Słowem Prawdziwym – mądrym i rzeczy odpowiednim – rzeczywistość srodze zazwyczaj zawodzi. Ci, których słów słuchało się z zachwytem w latach niewoli, milkną zagłuszeni przez krzykaczy lub sami zmieniają głos, dostrajając się do ogólnej kakofonii.*

*W tym kontekście potężne, bądź co bądź przedsięwzięcie, jakim były dwudziestowieczne totalitaryzmy, nabiera jakby nowego wymiaru. Można na nie patrzeć jak na ostatnią w tej skali próbę przywrócenia Słowu dawnej mocy. Totalitarni władcy konstruuje taki świat, w którym wypowiedź niezgodna z repertuarem słów urzędowo dozwolonych nie ma prawa bytu i zostaje usunięta ze społecznego forum. Programem i obsesją ideologów staje się swoista jednorodność świata, w którym nie tylko ludziom i rzeczom nadaje się kształt pożądanym, ale też słowom na materialny byt nakierowanym: wszystko podlegać ma tej samej kreatorskiej potędze, baczącej, by z obrazu świata usunąć wszelkie bluźnierstwo, ukryć, zamaskować wszelki nonsens i sprzeczność.*

*Jakże to jednak zrobić? Nowoczesny władca nie może zmusić społeczeństwa do całkowitego milczenia. Może mu jedynie narzucić rygor mówienia wyłącznie tego, co dozwolone, może zrytualizować słowo, ograniczyć jego naturalną różnorodność, sprowadzić je do powtarzalnych formuł — albo inaczej: może odebrać mu wszelkie istotniejsze znaczenie, zrywając jego związek ze światem, zastępując białą plamą cenzorskiej ingerencji te wszystkie nieprawomyślne zwroty, które mogłyby zagrozić jednolitej wizji rzeczywistości. Artyści słowa w totalitarnych reżimach mają więc do czynienia na codzień z tworzywem niejako nadwrażliwym i obolalym po różnych brutalnych amputacjach i resekcjach. Modelują swe teksty ostrożnie, obdarzeni dobrze rozwiniętym zmysłem, który ostrzega ich przed wykroczeniem poza granice urzędowej tolerancji — a jeśli decydują się owe granice naruszyć, to słowo ich nabiera natychmiast siły wystrzału, poruszyć może tłumy, sprowokować gniewne reakcje władzy.*

*Nic w tym dziwnego: totalitarny ustrój trzyma się bowiem na prostej zasadzie podporządkowania wszystkich umysłów i wszystkich sfer rzeczywistości jednej zwierzchniej regule. Słowo jest w tym systemie od święta magicznym zaklęciem, powołującym do życia nowy świat, na co dzień przypada mu natomiast rola narzędzia uzgadniającego poszczególne porządki, łatającego jaskrawe niezgodności, tuszującego absurd i sprzeczność. Słowo nie może więc wymknąć się spod kontroli władzy — inaczej rozleci się cały system. Sytuacja ta nadaje słowu niezwykle potęgę — tak kreacji, jak destrukcji. Słowo, niczym palec Gombrowiczowskiego Pijaka, może tam demolować wzniesione pracowicie struktury, a na ich miejsce budować nowe. Artysta słowa, mistrz językowej gry zyskuje nieprzewidzianą władzę nad sytuacją: może — korzystając*

ze swych ponadprzeciętnych umiejętności – wspomagać rządzących, nadając spiżowe brzmienie ich oznajmieniom, może jednak, równie dobrze, ośmieszać je w sposób czytelny tylko dla wtajemniczonych, może konstruować swoiste palimpsesty, w których spod słowa dozwolonego wyglądać będzie sens przewrotny i wolnościowy, może wreszcie wznosić sobie ze słów azyl, do którego język propagandy nie będzie miał dostępu. We wszystkich tych przypadkach słowo pisarza potężnieje, korzystając jak gdyby z siły cudzej, pożyczonej, odbitej. Im przemoc władzy i jej kontrola nad językiem większe, tym więcej artysta zdziałać może swoją wypowiedzią. Znowu przypomina się Gombrowiczowski „Słub” i Henryk, który wciąż bardziej absolutne funduje sobie panowanie, ale też wciąż natyka się na potężniejszego razem z nim Pijaka. Czyż więc opresja władzy w świecie słów jest pozorem – bo zawsze części swojej siły zrzec się ona musi na rzecz opozycji? Nie całkiem. Władzy udaje się zazwyczaj jedno zamknięcie społeczeństwa i artystów w pudełku ze słów i pojęć, których repertuar sama ustaliła, ustalając zarazem ich znaczenie. Opozycyjny pisarz – niezależnie od tego, jaką mocą obdarzyła go sytuacja – walczy na polu, którego granice wytyczył przeciwnik, nadludzkim wysiłkiem i kosztem wyważa otwarte gdzie indziej drzwi, ustala wciąż od nowa „sens prawdziwy” słów takich jak „demokracja”, „prawda” czy „wolność”, wiedząc zarazem, że paręset kilometrów od miejsca, w którym mieszka, sens ów nie budzi żadnych wątpliwości.

Świt demokracji przynosi raptowną zmianę warunków i nastroju: uwolnione od politycznego ciśnienia słowa unoszą się w górę niczym balony – nareszcie lekkie, bo nie obciążone balastem konsekwencji. Uprawianie literatury, reportażu, publicystyki staje się łatwe, ale też jakby czcze, dowolne, pozbawione większego znaczenia. Twórcy zaczynają po kryjomu tęsknić do czasów, gdy na oczach współziomków toczyli homerycki bój z władzą, co automatycznie zapewniało im społeczny szacunek i rozgłos.

Zrekonstruowałem powyżej coś w rodzaju popularnego stereotypu myślenia o dziejach najnowszych Słowa i Władzy. Wnioski stąd wypływające są dosyć pesymistyczne: totalitaryzm przydaje Słowu znaczenia, zawęża jednak horyzonty, demokracja odwrotnie: zwraca horyzonty odbierając przy tym znaczenie. Póki pozostajemy w obieży tego stereotypu sytuacja pisarza wydaje się bez wyjścia. Można jednak myśleć o relacji Słowo–Władza w nieco inny sposób.

Przede wszystkim: siła Słowa w sytuacji totalitarnego państwa wynikała stąd głównie, że w swoisty sposób zastępowało ono rzeczywistość: z jed-

nej strony tektura sloganu maskowała obdrapaną codzienność, z drugiej – literatura godna swego imienia w przestrzeni zdewastowanej duchowo i materialnie próbowała odbudować struktury tradycji i wartości. Nie był to pojedynek statyczny, w którym obie strony trzymały się – nie poruszone – w jakimś klinclu. W istocie od czasu odwilży proces odbudowy wartości postępował stale naprzód, sfera wolności poszerzała się, a każda kolejna „rewolucja” zastawała społeczną świadomość w innym miejscu. Ta odbudowa dokonywała się niekoniecznie na terenie polityki: obejmowała historyczną pamięć i ostrość widzenia codziennego świata, nobilitowała różnorodne, niepodatne na ideologię sfery ludzkiej prywatności. Bez tej mało widocznej pracy odrodzenie społeczeństwa demokratycznego nie byłoby w ogóle możliwe.

Odzyskanie wolności obnażyło jednak ulotność tego gmachu imponderabiliów, fakt, iż jego rolę było jedynie – zastąpić rzeczywistość, stworzyć świat alternatywny, w który można było uciec od namacalności życia. Z tego punktu widzenia tęsknota za Władzą Słów jest w gruncie rzeczy tęsknotą za światem fantomu, który mimo wszystko łatwiej konstruować niż świat politycznej czy ekonomicznej rzeczywistości. Sytuacja, w której słowa mają moc decydowania o rzeczywistości, pokonywania jej oporu, jest sytuacją niebezpieczną, prowadzi bowiem prędzej czy później do usamodzielnienia się sfery języka, który coraz sprawniej przestania to, co istnieje materialnie. W ślad za tą ucieczką od rzeczywistości następuje często tendencja do izolowania się elit, wytwarzających sobie nieprzenikliwą enklawę, w której mogą czuć się „u siebie”. Paradoksalnie sprzyja temu nabyta od władzy sprawcza moc wypowiedzianych słów – na tyle solidnych, by ów świat utrzymać w całości.

Rozczarowanie pisarzy, których słowom demokracja odebrała znaczenie, nie martwi mnie więc zbyt, wiąże się bowiem z odstąpieniem świata w całej jego nie pociągającej prawdzie i złożoności. W tym świecie przekrzykują się wszyscy – ale też wszyscy mają prawo głosu. W tym świecie odstania się podłość i głupstwo – ale też nikną pobożne złudzenia. W tym świecie na koniec słowo musi sobie zdobyć wagę i posłuch samo, w walce wręcz z innymi słowami – ale też żadna władza nie przydaje mu znaczenia mocą swej fizycznej przewagi. Kakofonia i idiotyzm demokracji są mi więc – mimo wszystko – droższe niż gorzka mądrość totalitaryzmu: dają bowiem szansę rozpoznania rzeczywistości, dotarcia do niej i odróżnienia jej cierpkiego smaku od urody kryształowego pałacu słów.

Jerzy Jarzębski